

SPENCER
QUINN

„ABSOLUTNIE
CZARUJĄCA KSIĄŻKA”
STEPHEN KING

ODWET

PANI

PLANSKY



SPENCER QUINN

ODWET PANI PLANSKY

PRZEKŁAD: ADRIAN NAPIERAŁSKI



Wydawnictwo Nemezis
<https://axismundi.pl/imprint/nemezis/>

Tytuł oryginału: *Mrs. Plansky's Revenge*

Copyright © 2023 by Pas de Deux. All rights reserved

Copyright for this edition © 2025 by Nemezis / Grupa Wydawnicza
Axis Mundi

Copyright for the Polish translation © 2025 by Nemezis / Grupa
Wydawnicza
Axis Mundi

Projekt okładki: Ifan Bates

Redaktor prowadzący: Anastazja Tabor

Redakcja: Ksenia Olkusz

Korekta: Dominika Kamyszek – OpiekunkaSłowa.pl

Redaktor techniczny: Antonina Liedtke

Wydanie I

ISBN: 978-83-8412-421-5

Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza oraz redakcji.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie w całości lub w częściach
wyłącznie za pisemną zgodą wydawcy.



Na zlecenie Woblink



woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Ossowska

SPIS TREŚCI

JEDEN

DWA

TRZY

CZTERY

PIĘĆ

SZEŚĆ

SIEDEM

OSIEM

DZIEWIEĆ

DZIESIĘĆ

JEDENAŚCIE

DWANAŚCIE

TRZYNAŚCIE

CZTERNAŚCIE

PIĘTNAŚCIE

SZESNAŚCIE

SIEDEMNAŚCIE

OSIEMNAŚCIE

DZIEWIĘTNAŚCIE

DWADZIEŚCIA

DWADZIEŚCIA JEDEN

DWADZIEŚCIA DWA

DWADZIEŚCIA TRZY

DWADZIEŚCIA CZTERY

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

DWADZIEŚCIA SIEDEM

DWADZIEŚCIA OSIEM

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

TRZYDZIEŚCI

TRZYDZIEŚCI JEDEN

TRZYDZIEŚCI DWA

TRZYDZIEŚCI TRZY

TRZYDZIEŚCI CZTERY

PODZIĘKOWANIA

Dla Bena, Cassie, George'a i Owena



JEDEN



– Cześć, to jestem ja, twój wnuk, tu wstawić imię – powiedział Dinu.

– Poprawnie – odparł profesor Bogdan, nauczyciel języka w Liceu Teoretic. Odchylił się do tyłu na swoim krześle i zapalił Chesterfielda. – Ale zbyt poprawnie, wiesz?

Zbyt poprawnie? Dinu nie wiedział, o co chodzi. Na dodatek był astmatykiem i sama obecność osoby palącej papierosa wywoływała w jego płucach dziwne sensacje. W szkole oczywiście nie wolno było palić, ale prywatne lekcje opłacane przez wuja Dragomira nijak się miały do szkolnych przepisów.

Profesor Bogdan wydmuchnął cienką strużkę gęstego dymu, której jedna mała odnoga skręciła i skierowała się w stronę Dinu.

– Jest język angielski, Dinu, a potem jest mowa angielska. – Uśmiechnął się zachęcająco. Miał żółte zęby, które nabierały brązowego odcienia tuż przy linii dziąseł.

– Czyli angielska to ona? – zdziwił się Dinu.

– Na litość boską, to żart – mruknął profesor Bogdan. – Czy w tym słowie wyróżnia się płęć?

– Nie sędzę.

– No widzisz. Dajże spokój, Dinu. Uczysz się angielskiego od trzech lat. Wyluzuj.

– Wyluzuj?

– Tak mówią młodzi Amerykanie. Wyluzuj, wycziluj, narka. – Strzepnął wałeczek z popiołu do papierowego kubka stojącego na blacie biurka. – Jeśli się nie mylę, takie właśnie słowa powinienes znać, swoisty młodzieżowy żargon. – Zerknął na Dinu i ich spojrzenia się spotkały. Profesor odwrócił głowę. – Chodzi mi o to, że żaden Amerykanin nie powie „to jestem ja”. Przywita się raczej słowami „to ja”. Oni tak właśnie mówią, czasami zupełnie niegramatycznie. Musisz nauczyć się poprawnej niepoprawnej gramatyki. W tym tkwi sekret brzmienia jak prawdziwy Amerykanin.

– Jak niby mam się tego nauczyć?

– Są na to sposoby. Na przykład możesz wejść na YouTube i wpisać „muzyka country”. A teraz spróbuj jeszcze raz.

– Cześć, to ja, twój wnuk, tu wstawić imię – powiedział Dinu.

– No, znacznie lepiej – pochwalił go profesor Bogdan. – Możesz nawet powiedzieć „Hejka, to ja”.

– Hejka?

– Podczas mojej ostatniej podróży do Ameryki słyszałem dużo „hejek”. Nawet mój brat tak mówi.

– Pański brat z New Hampshire?

– „P” jest tutaj nieme! Poza tym końcówkę wypowiadasz jako „szer”, a nie „szajer”. Ale tak, mój brat.

– Ten sam brat, który uprowadza firmę?

– Ten, który prowadzi firmę. „Hydraulika i ogrzewanie Bogdan”. – Profesor otworzył szufladę, wyjął z niej koszulkę z krótkimi rękawami i podał ją Dinu.

Chłopak rozłożył T-shirt, uniósł i przyjrzał się mu uważnie. Z przodu widniał rysunek narciarza z małutkimi sopelkami na krzaczastych czarnych wąsach, wymachującego nad głową przepychaczem do odpływów. Na odwrocie nadrukowany był napis: „Hydraulika i ogrzewanie Bogdan, Numer 1 w Granitowym Stanie”.

Dinu wyciągnął przed siebie rękę, żeby zwrócić koszulkę.

– Zatrzymaj ją – powiedział z uśmiechem profesor Bogdan.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. New Hampshire to Granitowy Stan. Wszystkie stany mają swoje przydomki.

– Co to są przydomki?

– Coś jak imiona zwierząt domowych. Jak woła na ciebie matka?

– Dinu.

Profesor Bogdan zamrugał kilka razy. Podobnie jak narciarz z koszulki miał krzaczaste wąsy, z tą różnicą, że jego były w większości siwe.

– Teksas to przykładowo Stan Samotnej Gwiazdy, Floryda to Słoneczny Stan, a Georgia to Brzoskwiniowy Stan.

– Georgia? Jak Gruzja po angielsku?

– Widzisz, mają nawet swoją własną Gruzję. Wszystko tam mają, Dinu, chociaż... – Pochylił się nad biurkiem i wycelował w niego poplamiony nikotyną palec. – Chociaż większość z nich nie zdaje sobie z tego sprawy i przez cały czas narzekają, podobnie zresztą jak i my.

– Czy pana brat narzeka? – zapytał Dinu.

Brwi profesora Bogdana, nie tak krzaczaste jak jego wąsy, uniosły się w wyrazie zdumienia.

– Nie, Dinu. On nie narzeka. Mój brat dorastał tutaj. Ale jego dzieci, wiesz, czym one jeżdżą? Teslami! Prawie całkowicie spłaconymi Teslami!

Ale i tak narzekają.

Stanowe przydomki brzmiały w uszach Dinu wybornie, a nawet magicznie w przypadku samotnej gwiazdy. Jedno wiedział na pewno: jeśli kiedykolwiek poleci do Ameryki, Tesla czy nie Tesla, nigdy nie będzie narzekał. Sam marzył o opuszczeniu mieszkania, w którym mieszkał z matką, znacznie lepszego niż jednopokojowa kawalerka, którą zajmowali, zanim zaczął im pomagać wujek Dragomir, ale wciąż było to mieszkanie zbyt zimne zimą, zbyt gorące latem, z dziwnymi zapachami wydobywającymi się z odpływu w zlewie i...

Drzwi nagle stanęły otworem i do środka wszedł wujek Dragomir. Gabinet profesora od razu się skurczył. Bogdan oderwał pośladki od krzesła.

– Jak sobie radzi? – zapytał wujek Dragomir w ich ojczystym języku, wskazując Dinu nieznacznym ruchem podbródka. Ów podbródek miał duży i kwadratowy. Do tego dochodziły duże kwadratowe dłonie i duże kwadratowe ciało. Wszystko w nim było duże i kwadratowe, z wyjątkiem oczu. Te były małe, okrągłe i błyszczące.

– Całkiem nieźle – odpowiedział profesor Bogdan. – Dobrze mu idzie. Przyzwoicie. Nawet bardzo dobrze.

– W samą porę – mruknął wujek.

– W samą porę?

– Ile jeszcze? Dni? Tygodnie? Miesiące?

Profesor odwrócił głowę w stronę Dinu i przeszedł na angielski:

– Można chyba mówić o tygodniach, nie sądzisz?

– Nie wiem – przyznał szczerze Dinu.

Bogdan odwrócił się do Dragomira, przestawił się ponownie na ich język i uśmiechając się tak promiennie, jak tylko potrafił z takimi zębami, powiedział:

– Tygodnie, Dragomirze.

Wujek skierował swoje błyszczące spojrzenie na profesora.

– W swojej karierze miałem już do czynienia z typami, którzy lubią przeciągać pracę. Na szczęście wiem, że nie jesteś taki jak oni.

Profesor Bogdan przycisnął dłoń do piersi.

– Daleko mi do tego! Niewiele tych tygodni, Dragomirze, naprawdę niewiele.

– Hmmf – parsknął wujek Dragomir. Wyjął z kieszeni zwitek pieniędzy, oddzielił kilka banknotów bez liczenia, pochylił się nad biurkiem i wsunął je profesorowi Bogdanowi do kieszeni na piersi w koszuli. Następnie się odwrócił, prawdopodobnie szykując się do wyjścia, kiedy zauważył T-shirt leżący na kolanach Dinu. – Co to jest?

Profesor Bogdan pośpieszył z wyjaśnieniami, wspominając o swoim bracie, Granitowym Stanie, hydraulice i ogrzewaniu.

– Przymierz – polecił wujek Dragomir.

– Jest w moim rozmiarze – odparł Dinu.

– Przekonajmy się.

Dinu się zastanawiał, czy włożyć koszulkę na swoją skórzaną kurtkę z satynową podszewką. Oczywiście nie była to ani prawdziwa satyna, ani skóra, ale z wyglądu niewiele się różniły. Ostatecznie uznał, że T-shirt prawdopodobnie nie pasowałby na kurtkę. To był głupi pomysł. Problem polegał na tym, że pod kurtką nie miał na sobie niczego: wszystkie koszulki w domu były brudne, pralka wyzionęła ducha, a jego matka po raz kolejny zajmowała się problemem swoich spuchniętych dłoni. Zdjął kurtkę.

Spojrzenie profesora Bogdana powędrowało prosto w kierunku wielkiego sińca nad jego żebrami po prawej stronie. Nie był to świeży siniak, nabrał już purpurowo-żółtych odcieni przypominających letnie

zachody słońca, gdy wiatr wieje znad gór i rozwiewa zanieczyszczenia. Nie dało się go jednak przeoczyć.

Wujek Dragomir nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Zamiast tego wydłubał sobie Chesterfielda z leżącej na biurku paczki należącej do profesora Bogdana.

Dinu włożył koszulkę.

– Ten przepychacz jest zabawny – stwierdził wujek Dragomir, zapalając papierosa.

W ich języku mówili na to *desfundator*. *Przepychacz* brzmiał lepiej. Dym z papierosa wujka Dragomira dotarł do płuc Dinu i chłopak od razu zaczął kaszleć, co wywołało ból w klatce piersiowej, tuż pod siniakiem.



Tuż przed przerwą obiadową w dzień po Nowym Roku na korce numer 2 w New Sunshine Golf and Tennis Club wydarzyło się coś niezwykłego, choć było to niezwykłe dla tylko jednej osoby. Osobą tą była niejaka Loretta Plansky, siedemdziesięcioletnia wdowa o solidnej posturze, a zarazem jedyna zawodniczka w całym klubie posługująca się jednoręcznym backhandem. Wraz ze swoją partnerką, nową członkinią, którą pani Plansky poznała tuż przed wejściem na kort tego ranka i której imienia nie zdołała zapamiętać – choć powtórzyła je kilkakrotnie, gdy uściśniły sobie dłonie – rozgrywała cotygodniowy mecz pomiędzy New Sunshiners a drużyną z Old Sunshine Country Club, tą bardziej snobistyczną, której historia sięgała 1989 roku. Pani Plansky była w dzieciństwie kimś w rodzaju chłopczycy, grając w drużynach chłopięcych w baseball w Małej Lidze i w hokeja w Lidze Peewee. W tenisa nie grała, dopóki nie poślubiła Norma, więc chociaż uderzenia miała skuteczne, nie było w nich niczego widowiskowego.

Teraz, przy wyniku pięć do sześciu w tie-breaku trzeciego seta, pani Plansky i jej odbierająca piłki partnerka skupiły się na lepszej z przeciwniczek, wysokiej blondynce, młodszej od pozostałych o dobre piętnaście lat, która wykonała ładnego loba nad panią Plansky. Był to lob z odrobiną topspinu, który miał wylądować wewnątrz linii bazowej,

zapewniając czyste zwycięstwo. Pani Plansky się obróciła, pognąła za piłką, a kiedy była odwrócona plecami do siatki, wykonała backhand w dół, prosto w niestrzeżoną alejkę. Gem, set, mecz. Niezłe uderzenie, w dużej mierze oparte na szczęściu i niezbyt widowiskowe. Niesamowite było jednak to, że pani Plansky zareagowała, nie zastanawiając się ani chwili. Wykonała po prostu szybki, instynktowny ruch – szybki przynajmniej dla niej – po raz pierwszy od wymiany stawu biodrowego dziewięć miesięcy wcześniej. Tak bardzo żałowała, że nie może opowiedzieć o tym Normowi. Zapytałby ją pewnie, gdzie udało się jej znaleźć fontannę młodości. Ona by odpowiedziała, że było to raczej jakieś marne ciurkanie, on by się roześmiał i dał jej szybkiego buziaka. Niemal czuła go teraz na swoim policzku.

– Co za przyjęcie! – zawołała jej partnerka, klepiąc panią Plansky po ramieniu.

Ta przypomniawszy sobie w końcu jej imię, choć wydarzyło się to dosłownie pod koniec meczu. Odrobina mentalnej zabawy wyzwoliła w niej mały przypływ szczęścia. Te niewielkie wybuchy, oparte na drobnych osobistych spostrzeżeniach, były cechą jej życia już od dzieciństwa. Pani Plansky doskonale zdawała sobie sprawę z faktu, że jest szczęśliwą kobietą.

– Dzięki, Melanie – odpowiedziała.

Podeszły do siatki, dotknęły się rakietami, a następnie zabrały swoje torby tenisowe i udały się na klubowe patio na lunch. Telefon pani Plansky zawibrował w momencie, gdy wysuwała sobie krzesło. Wyjęła go z torby i sprawdziła numer, po czym oddaliła się od stolika i zeszła z patio na skraj pola golfowego.

– Nina? – odezwała się, gdy odebrała.

– Cześć, mamó – powiedziała Nina. – Co u ciebie słychać? Zaczekaj, sama powiem... Żadnych powodów do narzekań, prawda?

Pani Plansky się roześmiała.

– Chyba powinnam być mniej przewidywalna.

– No masz! Nieszablonowa wersja Loretty Plansky! Rządziłabyś światem.

– W takim razie na pewno o tym zapomnij – odparła pani Plansky. – Jak się mają dzieciaki?

– Świetnie. Emma wciąż ma ferie zimowe, jest teraz w Scottsdale z Zachem i Anyą.

Emma, studentka pierwszego roku Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Barbara, była córką Niny z pierwszego małżeństwa z Zachem, a Anya była drugą żoną Zacha, którą pani Plansky widziała tylko raz, na pogrzebie Norma, i to bardzo przelotnie. W tym krótkim czasie ta kobieta powiedziała jednak coś wzruszającego. Co to było?

– Mamo? – odezwała się Nina. – Jesteś tam jeszcze?

– Tak.

– Myślałam przez chwilę, że połączenie zostało przerwane.

– Pewnie... Mamy słaby zasięg. Jestem w klubie, a sygnał tutaj jest do kitu. – Pani Plansky przeniosła się w inne miejsce na trawniku, choć wiedziała, że nie ma tu żadnych problemów z... no cóż, nieważne.

– Klub tenisowy? – zapytała Nina. – Jak sobie radzisz?

– Nikt nie zapłaciłby centa za możliwość oglądania mojej gry – odparła z uśmiechem pani Plansky. – A Will?

– Will?

– Tak. Co u niego?

Will był drugim dzieckiem Niny, a jego ojcem był Ted, jej drugi mąż. Do tego wszystkiego dochodził jeszcze trzeci mąż o imieniu Teddy – co bywało dość mylące – teraz również odstawiony na dalszy plan. Tak

właśnie pani Plansky wyobrażała sobie wszystkich mężów córki, Zacha, Teda i Teddy'ego, patrzących na oddalający się szybki i lśniący samochód, z włosami – żaden z nich nie wyłysiał, wszyscy mieli bujne czupryny – powiewającymi w podmuchu pozostawionym przez Ninę. Czy to – łepetyna pełna włosów – było jej kryterium, jeśli chodzi o mężów? Czy w ogóle istniały jakieś inne kryteria? Dlaczego pani Plansky nigdy wcześniej się nad tym nie zastanowiła? A teraz znów nadszedł jeden z tych momentów, kiedy żałowała, że nie ma w pobliżu Norma. Oznajmiłby jej, że tak, to jedyne kryterium Niny. Albo że nie, jest jeszcze jedno, po czym wymieniłby coś, co byłoby zabawne, niesamowite i prawdziwe. Coś, co nigdy nie przyszłoby jej do głowy. A potem by zapytał: „Czy mogę już wrócić do świata martwych?”.

Zaraz, zaraz. Pani Plansky słyszała głos Norma, nie w swojej głowie – choć oczywiście właśnie tam był – ale jakoś na zewnątrz, jakby zstąpił z niebios (w które nie wierzyła) na pole golfowe w New Sunshine Golf and Tennis Club. I tak rozejrzała się ukradkiem. Od strony dziewiątej alei nadleciała jakaś przypadkowa piłka golfowa.

– Z tego, co mi wiadomo, wszystko w porządku – powiedziała Nina.

– Przepraszam, co? – Pani Plansky odsunęła się od wciąż toczącej się piłki, czując, że zrobiło się jej trochę słabo.

– Will – ciągnęła Nina. – Z tego, co wiem, wszystko u niego w porządku. – Nina podniosła głos, jakby mówiła do kogoś niedosłyszającego, co bynajmniej nie dotyczyło pani Plansky.

„Wszystko gra i buczy”, jak powiedział doktor Ming podczas corocznego badania. „Po prostu rób dalej to, co robisz”.

Starsza pani potrząsnęła lekko głową, starając się poukładać myśli.

– Wrócił do szkoły?

Siedząca przy stoliku Melanie zaczęła się jej przyglądać. Kelner nalewał jej wino, a kobieta wskazała na pusty kieliszek należący do pani Plansky, rzucając jej pytające spojrzenie, czy ma ochotę na lampkę, ona jednak nie piła wina podczas lunchu. Potwierdziła skinieniem głową.

– Niezupełnie – powiedziała Nina. – Stracił dużo czasu, a rok szkolny dobiega już końca. Planuje zostać w Crested Butte.

– Uczyć jazdy na nartach.

– Tu pojawił się pewien problem. Wygląda na to, że będzie pracował przy wyciągach.

Praca przy wyciągach? We wczesnych dniach funkcjonowania firmy Plansky i S-ka jeździli trochę z Normem na nartach w Vermont oraz na najbardziej wysuniętych na południe zboczach niedaleko domu na Rhode Island, żeby zawsze być w pełnej gotowości na niedzielne wypadki. Całe weekendy nie wchodziły już w rachubę ze względu na pracę. Podróż do domu o zmierzchu z dziećmi, Niną i Jackiem siedzącymi z tyłu, Normem na siedzeniu pasażera i panią Plansky za kierownicą – za dnia prowadził Norm, bo nie widział zbyt dobrze po zapadnięciu zmroku – zawsze wiązała się z ekscytacją, wyczerpaniem i pełnym relaksem: takie było życie rodziny Plansky w najlepszym wydaniu. Ale praca przy wyciągach wiązała się z siedzeniem przez cały dzień na tyłku w oczekiwaniu na to, że spadnie śnieg. Innymi słowy, taka robota nie gwarantowała żadnych sukcesów, w przeciwieństwie do uczenia innych jazdy na nartach.

Kiedy ostatnio rozmawiała z Willem? Zapewne w jego urodziny w lipcu, chociaż wysłała mu czek na Boże Narodzenie. Ale na jaki adres? Zanotowała w myślach, by to sprawdzić, dopisując przy okazji, że niebawem powinna do niego zadzwonić. Fakt, że nie podziękował jej jeszcze za czek, nie oznaczał wcale, że go nie dostał. Z jakiegoś powodu

przegapił jeden czy dwa drobiazgi w swoim wychowaniu. Pani Plansky nie osądzała takich rzeczy. Will i jego kumpel zatrzymali się u niej na noc tydzień po wymianie stawu biodrowego, w drodze na wiosenne wakacje do domu rodziców owego kumpla w Lauderdale. Po ich wyjeździe nie mogła znaleźć swojej butelki OxyContinu, którą zawsze stawiała po prawej stronie górnej półki. Do osądzania takich rzeczy pani Plansky była zdecydowanie bardziej skłonna.

– Ale dzwonię do ciebie, mamó, bo mam ekscytujące wieści – oznajmiła Nina.

– Słucham zatem! – Była naprawdę okropną jędzą, reagując tak radosnym głosem, kiedy w środku gotowała się ze złości. Dobrze jednak знаła Ninę.

– Poznałam kogoś wspaniałego – zaświergotała jej córka. – Ma na imię Matty, ale ja mówię na niego Matthew. Tak brzmi poważniej.

Pani Plansky poczuła, jak gwałtownie przyspiesza szybki i błyszczący samochód.

– Pokochasz go, mamó, mówię ci. Zgadnij tylko, ile ma wzrostu!

Pani Plansky rozejrzała się dookoła, co było marnym fizycznym substytutem porządkowania myśli. To, co zobaczyła, było pięknym widokiem Florydy w jasny i słoneczny zimowy dzień. Jakie to szczęście móc pozwolić sobie na emeryturę w miejscu takim jak to. Chociaż wolałaby Arizone, zachowała tę myśl dla siebie, głównie ze względu na minę Norma, kiedy agent nieruchomości zawiózł ich do dużego, ale nie zbyt dużego domu przy Pelican Way 3. Budynek stanowił przykład tego, jak styl z Nowej Anglii wyobraża sobie ktoś, kto nigdy tam nie był, a tuż za jego tylnymi drzwiami ciągnęła się śródlądowa droga wodna. Norm był zachwycony, a fakt, że całkowicie przegapił tę gafę – w rzeczywistości nie

byłby w stanie jej dostrzec, nawet gdyby został o to poproszony – sprawił jedynie, że uwielbiała go jeszcze bardziej.

– Wysoki, jak mniemam – odpowiedziała pani Plansky. Norm mierzył sto siedemdziesiąt centymetrów w dniu ich ślubu, ale w ciągu czterdziestu lat zgubił pewnie z pięć. Jego ciało również przeszło wiele innych zmian, a mimo to przez cały ten czas pozostawał w jakiś sposób fizyczną doskonałością. Przynajmniej do tych ostatnich miesięcy. Tutaj nie mogła się już oszukiwać.

– Sto dziewięćdziesiąt centymetrów, mamó! – zawołała z przejęciem Nina. – Choć może ze trzy więcej.

– Ojej – odparła pani Plansky. – Dobrze, opowiedz mi o nim coś więcej.

Nina się roześmiała. Już od dzieciństwa miała ten falujący, muzyczny śmiech – zupełnie jak piosenka, mówił Norm, może zbyt często z perspektywy czasu, ale wyłącznie ze względu na miłość w jego sercu. Czy w tej muzykalności było teraz coś udawanego? Może po prostu się przesłyszała.

Kelner przy stoliku skończył już chyba przyjmować zamówienia i zerkał w jej stronę.

– Sałatka! – zawołała cicho, a mężczyzna pokazał jej kciuk skierowany w górę.

– Nawet nie wiem, od czego zacząć – powiedziała Nina. – Ale wiesz co? Jutro będziesz mogła się przekonać sama.

– O? – zdziwiła się pani Plansky.

– Przylatujemy na krótki weekend z przyjaciółmi do Boca, pomyśleliśmy, że zatrzymamy się po drodze jutro wieczorem i zabierzemy cię na kolację.

– Cudownie – odparła staruszka. – Ale to ja zrobię kolację, a ty będziesz mogła obejrzeć moje nowe mieszkanie.

– Zadomowiliście się już?

– Tak.

– W takim razie będzie cudownie. Pa, mamó. Kocham cię.

– Ja też cię kocham – odpowiedziała pani Plansky, ale Nina już się rozłączyła. Wróciła na patio, usiadła przy stoliku, upiła łyk wina, a po nim kolejny. Zaskakująco szybko opróżniła kieliszek, ale kelner błyskawicznie pojawił się z butelką.

– Nie, dziękuję – powiedziała pani Plansky, zakrywając szkło dłonią.



Z klubu tenisowego do domu prowadziły dwie drogi, przy czym owym domem było nowe miejsce zamieszkania pani Plansky, czyli apartament nad jeziorem Little Pine Lake. Jedna z tych dróg, ta krótsza, wiodła prosto przez las w stronę jeziora. Dłuższa trasa podążała wzdłuż śródlądowej drogi wodnej przez trzy kilometry i mijała Pelican Way 3. Po raz ostatni pani Plansky zdecydowała się na tę trasę dzień przed wyprowadzką. Teraz, po lunchu na klubowym patio, myśląc o zupełnie innych rzeczach, ponownie ją wybrała, choć uświadomiła to sobie dopiero wówczas, gdy na horyzoncie pojawiło się ekstrawaganckie drzewo Norma. Jej mąż postanowił, że jeśli zamierzają dożyć swoich dni na Florydzie, to muszą zrobić to dobrze, a zrobienie tego dobrze oznaczało posadzenie na podwórku ekstrawaganckiego drzewa. I to nie było jakiego ekstrawaganckiego drzewa, ale dosłownie matki wszystkich ekstrawaganckich drzew, którą zasadził z podrostu – zdecydowanie nie z sadzonki! – i pielęgnował tak, jak żadne inne ekstrawaganckie drzewo nie było pielęgnowane. Ani jedna szkółka w całym stanie nie była w stanie sprostać zadaniu, jeśli chodzi o dostarczenie podrostu o oczekiwanej przez niego jakości, więc pochodził

on ostatecznie z Madagaskaru, ojczyzny drzew ozdobnych. Gleba na podwórku również okazała się mniej niż pierwszorzędna – niewystarczająco gliniasta i pozbawiona materii organicznej – więc Norm większość jej wymienił i dodał materię organiczną, na którą natknął się w lesie w Georgii. Materię organiczną, która doprowadziła do kłopotów ze wspólnotą mieszkaniową. Ale rezultat – Duża Mama – och, ten rezultat: ekstrawagancka roślina, która kwitła nie tylko w maju, jak wszystkie inne, ale także na Boże Narodzenie. Większość kwiatów miała w kolorze najjaśniejszej czerwieni na ziemi, ale zdarzały się także skupiska znacznie rzadszych, żółtych, i to na tym samym drzewie! Norm zaprosił profesora biologii z Rollins, aby się temu przyjrzał.

– Nie słyszałem o czymś takim – powiedział naukowiec. – To się nadaje do publikacji.

Tej nocy uprawiali seks dwa razy – podwójne zanurzenie, jak nazywała to pani Plansky – bywała czasami nieco sprośna, gdy byli tylko we dwoje – co stanowiło wyczyn, który nie zdarzył się od co najmniej dwudziestu lat. Przez jakiś czas potem pytała: „Jakieś nowe pomysły związane z drzewami?”.

Przejście na emeryturę oznaczało również zakup wykrywacza metalu i zabieranie go na długie spacery po plaży. Norm zakładał słuchawki, po czym omiatał wykrywaczem piasek w tę i z powrotem, a na jego twarzy gościło pełne skupienie.

Pani Plansky widziała w takich chwilach małego Norma, w irracjonalny sposób ciesząc się fałszywym poczuciem, że знаła go całe życie, choć po raz pierwszy spotkali się w dniu ukończenia college’u. Pomysł z wykrywaczem metalu narodził się po tym, jak po wielkim sztormie Norm znalazł starą hiszpańską srebrną monetę, cztery reale z tarczą po jednej

stronie i dwoma dziwnymi filarami po drugiej. Pani Plansky kupiła specjalną tabliczkę do umieszczenia jej na ścianie w przedpokoju.



– Którą stroną? – zapytała.

– Oczywiście filarami.

Nacisnęła lekko pedał hamulca i zwolniła. Wielka Mama była w swojej pełnej chwale – złote słońca lśniły w czerwonym ogniu.

– Kiedy sprzedasz dom – powiedział Norm i przerwał na moment, by zaczerpnąć więcej powietrza z rurki umieszczonej w nosie – zawsze możesz zabrać podrost.

– Dlaczego miałabym sprzedać dom?

Pauza. Dłuższa pauza.

– Sama wiesz.

– Nie wiem.

Norm wyciągnął rękę nad kołdrą. Leżał na specjalnym szpitalnym łóżku, które ostatecznie zdecydowali się wypożyczyć.

– Zwykle zawsze mówię „kupuj” – powiedział wtedy Norm. – Ale może nie w tym przypadku.

Zatrzymał rękę – suchą i purpurową od częstego wbijania igieł do kroplówki. Położyła na niej swoją, tak nieprzyzwoicie zdrową w kontraście.

Pauza. Dłuższa pauza.

– Żeby pójść dalej.

Ogarnęła ją przemożna chęć płaczu, krzyku, szlochu, ale pani Plansky się opanowała.

– Nie ruszam się z miejsca.

Norm się w nią wpatrywał. Oczy miał teraz głęboko osadzone w czaszce, ale wciąż widziała go tam w głębi, swojego Norma. Zaczął śpiewać *My Funny Valentine*. Był okropnym piosenkarzem, chociaż śpiewał dużo w ciągu dnia. Głos miał szorstki, rozstrojony, niestabilny w tonacji – ale tego jednego razu, dwa dni przed śmiercią, jak się okazało, dopóki nie zabrakło mu tlenu, śpiewał jak anioł, a dokładniej jak Tony Bennett.

Teraz za Wielką Mamą pracował ogrodnik, sadząc coś na podwórku. Z początku nie mogła zrozumieć, co to jest, a potem pojawiła się jakaś mentalna odmowa zaakceptowania optycznego faktu. To sadzone coś było jednym z tych plastikowych dżokejów, przebranych w jedwabne stroje wyścigowe. Pani Plansky pojechała dalej.



TRZY



Zapach Norma utrzymywał się w rozmaitych zakamarkach mieszkania przy Pelican Way 3 jeszcze przez kilka miesięcy po jego śmierci. Nie była to woń śmierci i umierania – ten znikł niemal natychmiast – ale zapach zdrowego, żywego Norma, który uwielbiała. Pewnego ranka on również się rozwiął. Mieszkanie trafiło na rynek jeszcze przed porą lunchu. Pozostanie w nim oznaczałoby życie zmieszane pół na pół z marną egzystencją. „Wybierz jedno albo drugie”, powiedziała by Norm.

Mieszkania nad Little Pine Lake były bardzo atrakcyjne. Z jednej strony mieściły się na szczycie wzgórza, o które było dość trudno w tym hrabstwie. Do tego dochodziło samo jezioro, tworzące niemal idealny okrąg, z cudownie orzeźwiającą wodą, zasilane przez źródło w dole. Budynek mieścił zaledwie dwanaście lokali, wszystkie położone na poziomie gruntu, z widokiem na wodę i z wykorzystaniem nachylenia terenu. Pani Plansky mieszkała pod dwunastką, w jednym z końcowych mieszkań, wyposażonym w prywatne patio, na którym lubiła siedzieć i oglądać zachody słońca, zdające się podpalać taflę jeziora. Nie było tanie, ale zapłaciła gotówką i wciąż miała w zapasie blisko czterysta tysięcy ze sprzedaży lokalu przy Pelican Way 3.

Pani Plansky nie musiała się martwić o pieniądze, ale nie dorastała w zamożnej rodzinie, więc przynajmniej wiedziała, jak to jest musieć się

o nie martwić. Wraz z Normem zaczynali z niczym, a właściwie z mniej niż niczym, jeśli wziąć pod uwagę pożyczkę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów od jej ojca. Oprocentowanie wynosiło cztery i pół i spłacili ją już pierwszego dnia, kiedy tylko było ich na to stać. Te dziesięć tysięcy oraz wszystko, co zdołali zaoszczędzić ze swoich wypłat – Norm pracował podówczas dla małej firmy inżynieryjnej w Providence, a pani Plansky była praktykantką adwokacką w małej kancelarii w Newport – utopili w wysiłkach, by wcielić w życie pomysł Normy.

Tak naprawdę był to pomysł pani Plansky, ale tak przypadkowa myśl, która mniej lub bardziej po prostu przemknęła jej przez głowę, że nigdy jej sobie nie przypisała, choć Norm zdecydowanie się z tym nie zgadzał i bardzo pilnował, by dowiedzieli się o tym wszyscy. On sam miał kilka pomysłów, zanim pojawiły się te, na które wpadła ona, ale żaden z nich nie okazał się wykonalny z tego czy innego powodu. Albo sobie uświadamiali, że nie będzie na coś wystarczającego popytu, albo dochodzili do przygnębiającego wniosku, że wynalazek, który przyszedł Normowi do głowy, został już przez kogoś wymyślony i przynosił zabójcze dochody. I tak w namiocie podczas pewnej deszczowej, weekendowej wycieczki na kemping w Berkshires, pani Plansky – w ciąży z Niną i z małym Jackiem, który już wstawał, ale nieszczególnie radził sobie jeszcze z chodzeniem – kroїła bochenek żytniego chleba na kanapki, kiedy nagle powiedziała:

– Czy nie byłoby miło, gdyby nóż mógł opiekować chleb od razu podczas krojenia?

Norm, wciąż drzemiący w dwuosobowym śpiworze, od razu się wyprostował.

– Co powiedziałaś?

Pani Plansky powtórzyła swoje słowa.

Trzy lata później sprzedali swój pierwszy nóż tostujący Plansky – a dokładniej rzecz biorąc, pięćdziesiąt sztuk – do nowo otwartego sklepu z akcesoriami kuchennymi w Oslo. Nazwa produktu również była pomysłem pani Plansky – Norm naciskał na Lasery Loretty – podobnie jak wybór pierwszego klienta. Pani Plansky poznała właścicieli firmy na targach w Atlancie. Była to młoda, modna i wyrafinowana para, jakże niepodobna do niej i Norma, z wyjątkiem tej młodości. Uznali wtedy, że to znakomity wybór. Następne zamówienie, opiewające na pięć tysięcy sztuk, zostało złożone przez sieć z siedzibą w Barcelonie po tym, jak jej dyrektor generalny zatrzymał się w sklepie z akcesoriami kuchennymi w Oslo. A potem nastąpił prawdziwy zalew.

– Zarobimy miliardy! – wołał Norm.

– To przyprawiłoby nas o prawdziwy ból głowy – odpowiedziała pani Plansky.

– No to może setki milionów?

– Uczucie, które się pojawia, gdy już wiesz, że nadchodzi ból głowy.

Koniec końców Norm zajmował się produkcją i dystrybucją, a ona sprzedają i marketingiem. Zarobili niezłą sumkę liczoną w milionach, z której część – ale nie tak dużą, by mogła zaszkodzić, przynajmniej taką mieli nadzieję – oddali Jackowi i Ninie. Połowę, czyli niemal pięć milionów, przekazali różnym organizacjom charytatywnym, po czym sprzedali firmę i przeprowadzili się na Florydę, wyobrażając sobie miły i długi ostatni akt. No cóż. Kiedy się okazało, że będzie taki krótki, w jej głowie nieustannie kołatały się słowa z dramatu Szekspira: „Jesteśmy bogom, czym są muchy dzieciom, i dla zabawy swej nas zabijają”¹. Pani Plansky nienawidziła tego zdania i ani przez sekundę nie wierzyła w jego sens. W końcu umilkło albo odeszło, może do innego pogrążonego w żalobie umysłu. Ta myśl również się jej nie podobała.

Pani Plansky weszła do środka, otworzywszy drzwi do swojego mieszkania za pomocą aplikacji na telefonie – zdecydowanie odmówiła skostnienia w kwestii takich rzeczy, przynajmniej do końca, była przecież żoną wynalazcy. Wczoraj przypadał dzień sprzątania przez Marię, więc wszystko lśniło nieskazitelnie, chociaż w zasadzie zawsze było tu nieskazitelnie, nawet tuż przed przyjazdem Marii.

Pani Plansky nie mogła sobie jednak przypomnieć, czy Nina oznajmiła, że spędzi u niej noc z... kimkolwiek był ten jej nowy amant. Na wszelki wypadek weszła do sypialni gościnniej na poddaszu i pościeliła łóżko. Następnie sprawdziła łazienkę dla gości, dokonała szybkiej inspekcji i wymieniła ręczniki we flamingi – kupione na poświętecznej wyprzedaży w All Things Bathroom – na zwykłe, białe. Później zaparzyła sobie w kuchni herbatę, po czym wypila ją, siedząc przy wyspie. W spiżarni trzymała kruche ciasteczka i nabrała na jedno ochoty, ale czy nie jadła właśnie lunchu? *Loretto, weź się w garść!* Dopila herbatę, umyła filiżankę, położyła ją suszarce i popatrzyła przez okno na jezioro.

Jej telefon wydał z siebie dźwięk, co oznaczało, że przyszedł esemes. Pani Plansky zorientowała się wtedy, że z jakiegoś powodu stoi w spiżarni. Wróciła do wyspy w kuchni i spojrzała na ekran. Wiadomość od Jacka:

Jesteś tam?

Przesunęła palcem wskazującym po ekranie. „Tak, Jack, jestem. Miło cię słyszeć”. Zbyt rozwlekłe? A może: „Cześć, Jack, na miejscu”. Dobry Boże. A może proste „Tak”? Prawdopodobnie jedyna słuszna decyzja, ale czy to nie było trochę niecywilizowane? Czy było coś niecywilizowanego w maszynach, które zmuszały cię do bycia niecywilizowanym, jeśli chcesz, żeby były posłuszne? Och, jak bardzo zapragnęła teraz nalać Normowi

szklaneczkę bourbona, który tak lubił – wciąż go jeszcze trochę zostało – i usłyszeć, co powie na ten temat. Lub jakikolwiek inny.

Telefon – ruchliwe, małe urządzenie, tylko w połowie inteligentne, i to wyposażone w tę złą połowę inteligencji – zadzwonił, wyrywając ją z zadumy... czy cokolwiek to było. Na ekranie przewinęła się nazwa dzwoniącego: Arcadia Gardens.

– Dzień dobry – powiedziała. – Loretta Plansky.

– Cześć, Loretto. Tu Jeanine. Czy jest jakaś szansa, żebyś tu wpadła i pomogła rozwiązać problem?

– A o co chodzi?

– O coś związanego z futbolem.

Tabliczka z czterema realami wisiała teraz w przedpokoju. W mieszkaniu przy Pelican Way 3, kiedy wychodzili na pierwszą tomografię Norma, obejrzała się za siebie i zauważyła, jak mąż dotyka monety na szczęście. Nie dała tego po sobie poznać. Teraz, opuszczając nowe mieszkanie, pani Plansky również dotknęła starej hiszpańskiej monety. Jej dłoń w zasadzie zrobiła to sama.



Arcadia Gardens, obiekt położony czterdzieści pięć minut jazdy na południe od Little Pine Lake, cieszył oko pięknymi krajobrazami – klombami bez chwastów, ale za to wyłożonymi muszlami, dużymi cienistymi drzewami, głównie palmami kabaczkowymi, ale również starymi cypryśnikami błotnymi – wyglądał jak dobrze zachowany hotel z czasów przedwojennych na Florydzie, choć nie miał jeszcze dziesięciu lat. Jeanine, szczupła czterdziestolatka w eleganckim komplecie, czekała na nią w lobby.

– Dziękuję, że przyjechałaś – powiedziała.

– Żaden problem. – Weszły do windy i wjechały na najwyższe piętro. – Problem z futbolem? – zagała pani Plansky.

– Była mała kłótnia o rzut karny – odpowiedziała Jeanine. – Może o ofensywną ingerencję w podanie? Czy coś takiego w ogóle istnieje?

– Tak – odpowiedziała pani Plansky. Jack grał w liceum. Znała się na futbolu.

Szły nasłonecznionym korytarzem na najwyższym piętrze, z ładnie oprawionymi grafikami kliperów na ścianach. Ostatnie drzwi były zamknięte.

– Ustawił coś pod klamką i ją zaklinował – oznajmiła Jeanine. – Nie możemy wejść do środka.

Pani Plansky zapukała lekko.

– Tato?

Po drugiej stronie panowała cisza, ale po chwili odezwał się głos:

– Odejdź. Nie zapłacę ani centa. Ty też nie. – Potem nastąpiła kolejna cisza, a po niej padły jeszcze słowa „nielojalna suka”, wypowiedziane niskim, konfidencyjnym tonem, który niektórzy ludzie rezerwują wyłącznie dla siebie.

Pani Plansky zwróciła się do Jeanine:

– Za co nie zapłaci?

– Telewizor w świetlicy – odpowiedziała Jeanine. – Nie mam pojęcia, skąd przyszło mu do głowy, że będzie jakakolwiek opłata. Nikt by mu czegoś takiego nie powiedział. Nasze ubezpieczenie to obejmuje.

– Zepsuł telewizor?

Jeanine skinęła głową.

– Butelką po piwie.

– Tak mocno nią rzucił?

Kobieta pokręciła głową.

– Podeszedł do ekranu i użył butelki jak maczugi. Znasz pana Bluchera?

– Nie sędzę.

– Jest tu nowy. To z nim się pokłócił. Oczywiście opiekun był na miejscu, serwował przekąski i takie tam, ale wszystko potoczyło się bardzo szybko.

– Tata ma dziewięćdziesiąt osiem lat. Jak to mogło potoczyć się szybko?

– Powinnam była powiedzieć: zaskakująco szybko. Niestety pan Blucher został trafiony odłamkiem szkła i potrzebował szwu czy dwóch.

– Mój Boże. Gdzie został zraniony?

– W ramię.

Pani Plansky odwróciła się do drzwi i tym razem zapukała mocniej.

– Tato, otwórz.

– Dlaczego miałbym to zrobić? – Jego głos dochodził z bliska, jakby stał tuż po drugiej stronie.

– Tato! Co to za pytanie?

Cisza. I w końcu:

– To ci zagadka.

Jeanine popatrzyła na panią Plansky i zawołała przez drzwi:

– Pana córka przejechała taki kawał drogi, żeby się z panem zobaczyć, panie Banning. Proszę otworzyć te drzwi.

– To tylko trzydzieści dwie mile – odparł jej ojciec. – A ja się nie ruszam. To mój pokój i koniec. Finito. Koniec historii. Kropka.

Pani Plansky chwyciła Jeanine za rękaw i odciągnęła ją kawałek w stronę korytarza.

– O czym on mówi?

– Cóż, nie chodzi tylko o ten incydent, było też kilka innych. Zalecamy przeniesienie na trzecie piętro. Pokój będzie równie ładny, ale zyskamy możliwość zapewnienia mu więcej pomocy.

– Myślisz, że potrzebuje więcej pomocy?

– Nie tylko ja, cały zespół tak uważa – odpowiedziała Jeanine. – Z doktorem Albertem włącznie.

– Jeśli potrzebna jest dodatkowa pomoc, dlaczego nie może otrzymać jej tutaj?

– Procedury. Trzecie piętro to miejsce, w którym zapewniamy kolejny poziom udzielanej pomocy. – Jeanine dotknęła dłoni pani Plansky. – Boimy się szczególnie o samookaleczanie.

– Samookaleczanie?

– Niekoniecznie celowe, ale z jego temperamentem takie instynkty mogą nieco częściej brać górę... – Umilkła.

Pani Plansky wróciła pod drzwi, ale tym razem nie zapukała.

– Dlaczego tak to utrudniasz?

– Bo tu chodzi o szekle, właśnie dlatego.

– O czym ty mówisz?

– O tak zwanej przeprowadźce. Trzecie piętro to kolejne dziesięć tysięcy miesięcznie.

Poczuła lekki powiew powietrza, gdy Jeanine potrząsnęła głową.

– Wiesz, ile kosztuje to miejsce? – zapytał.

Wiedziała doskonale, ponieważ to ona płaciła rachunki. Co by było, gdyby wypowiedziała tę myśl na głos? Pani Plansky nie była pewna, ale już dawno zaprzestała podobnych eksperymentów na swoim ojcu. Wzięła głęboki oddech i zagrała swoją ostatnią kartą, jedyną w talii, która miała szansę cokolwiek zdziałać.

- Nina przychodzi na kolację – oznajmiła. – Chcesz do nas dołączyć?
- W tym twoim mieszkaniu?
- Tam właśnie mieszkam, tato.
- Wolę tamto stare miejsce. Z drzewem. Dlaczego się, do cholery, przeprowadziłaś?
- Już o tym rozmawialiśmy.
- To nie była najlepsza decyzja. Ale też nie najgorsza.

Ta ostatnia część była kodem, nawiązywał do poślubienia Norma. On wiedział i ona wiedziała, ale każda inna osoba miałaby trudności z uwierzeniem w to z wielu powodów, na przykład dlatego, że jakimś cudem po tylu latach tak szczęśliwe było ich małżeństwo. Do tego dochodziła jeszcze wyjątkowość Norma. Nigdy nie był dla niej wystarczająco dobry, ale nie w dawnym znaczeniu „bo nie można być za dobrym dla córki”. To, jak nagle i nawiąsem pojęła pani Plansky, bardziej przypominało sposób, w jaki on sam myślał o Ninie. Nie, w jej przypadku powód był inny. Wskazówką były szkle. Niewiele brakowało, żeby powiedziała „Zapomnij o tym”. Cholera, tak. Te słowa były w drodze, ale zanim wydostały się na świat, jej ojciec odezwał się ponownie:

- No dobrze już, dobrze, niech będzie to małe mieszkanie. Ale lepiej najpierw zrobię kupę.

Za drzwiami rozległo się skrobanie i uderzenie, a potem stanęły otworem. Był tam – pochylony na bok, choć w jakiś agresywny sposób, na swoim wózku inwalidzkim. Jej tata, niegdyś przystojny mężczyzna rodem z serialu *Mad Men*, a teraz znacznie mniejszy, może nawet przypominający nieco ogra.

- Julio! Julio! – zawołał.
- Kim jest Julio? – zapytała pani Plansky.

– To opiekun, który pomaga mu w jego potrzebach sanitarnych – wyjaśniła Jeanine.

– Ten pierwszy był lepszy – stwierdził tata pani Plansky.

– Marcusa już tu nie ma – powiedziała Jeanine, a pani Plansky od razu wiedziała, jak do tego doszło.

.....

¹ Cytat z *Króla Leara* Williama Shakespeare’a w tłumaczeniu Leona Ulricha (przyp. tłum.).



Dostępne w wersji pełnej



Dostępne w wersji pełnej



Dostępne w wersji pełnej



Dostępne w wersji pełnej



Dostępne w wersji pełnej



Dostępne w wersji pełnej

DZIESIĘĆ

Dostępne w wersji pełnej

JEDENAŚCIE

Dostępne w wersji pełnej



Dostępne w wersji pełnej

TRZYNAŚCIE

Dostępne w wersji pełnej

CZTERNAŚCIE

Dostępne w wersji pełnej

PIĘTNAŚCIE

Dostępne w wersji pełnej

SZESNAŚCIE

Dostępne w wersji pełnej

SIEDEMNAŚCIE

Dostępne w wersji pełnej

OSIEMNAŚCIE

Dostępne w wersji pełnej

DZIEWIĘTNAŚCIE

Dostępne w wersji pełnej



Dostępne w wersji pełnej

DWADZIEŚCIA JEDEN

Dostępne w wersji pełnej

DWADZIEŚCIA DWA

Dostępne w wersji pełnej

DWADZIEŚCIA TRZY

Dostępne w wersji pełnej

DWADZIEŚCIA CZTERY

Dostępne w wersji pełnej

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Dostępne w wersji pełnej

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Dostępne w wersji pełnej

DWADZIEŚCIA SIEDEM

Dostępne w wersji pełnej

DWADZIEŚCIA OSIEM

Dostępne w wersji pełnej

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

Dostępne w wersji pełnej

TRZYDZIEŚCI

Dostępne w wersji pełnej

TRZYDZIEŚCI JEDEN

Dostępne w wersji pełnej

TRZYDZIEŚCI DWA

Dostępne w wersji pełnej

TRZYDZIEŚCI TRZY

Dostępne w wersji pełnej

TRZYDZIEŚCI CZTERY

Dostępne w wersji pełnej

PODZIĘKOWANIA

Dostępne w wersji pełnej